



아몬드

ALMOND

Ten, który nie czuł

WON-PYUNG SOHN

손원평



WON-PYUNG SOHN

손원평

아몬드

ALMOND

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO

Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Almond

English Translation Copyright © by Joosun Lee

Originally published as

[아몬드]

in South Korea

Redaktorki prowadzące: Ewelina Kapelewska, Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Agata Garbowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Bożena Sęk

Konsultacja merytoryczna: Anna Diniejko-Wąs

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © Moremar / Shutterstock.com

DTP: MELES-DESIGN

Almond

Copyright © 2017 by Won-pyung Sohn

All rights reserved.

Originally published by Changbi Publishers, Inc.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN ISBN 978-83-66967-43-4



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/wydawnictwo.mova



www.wydawnictwokobiectwo.pl

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiectwo.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiectwo.pl

Tamtego dnia zginęło sześć osób, a jedna została ranna. Do pierwszej grupy należała Mama i Babcia. I student, który rzucił się powstrzymać mężczyznę. I dwaj panowie po pięćdziesiątce, którzy szli w pierwszym szeregu parady Armii Zbawienia. I policjant. I w końcu sam napastnik, który z jakiegoś powodu postanowił, że będzie ostatnią ofiarą urządzonej przez siebie krwawej łaźni. Pchnął się nożem w pierś i tak jak pozostali zmarł, zanim nadjechała karetka. Ja tylko się przyglądałem.

Stałem tam z pustym spojrzeniem, jak zawsze.

Do pierwszego incydentu doszło, gdy miałem sześć lat. Znacznie wcześniej dawały o sobie znać pewne symptomy, lecz wyszły na jaw w pełni dopiero wtedy. Tamtego dnia Mama nie odebrała mnie z przedszkola. Ponoć poszła do Taty, by mu zakomunikować po tych wszystkich latach, iż pozwoli mu wreszcie odejść; nie dlatego, że kogoś poznała czy coś, po prostu była gotowa ruszyć dalej. Mówiła to Tacie, przecierając spłowiełe ściany jego grobowca. W tym samym czasie, gdy jej miłość gasła nieodwołalnie, ja – nieproszony gość w życiu tych dwojga młodych – sterczałem w przedszkolu kompletnie zapomniany.

Kiedy wszystkie dzieci już sobie poszły, też opuściłem budynek. Jako sześciolatek pamiętałem tylko tyle, że mój dom stoi gdzieś za mostem. Wspiąłem się na kładkę i stanąwszy pośrodku, wystawiłem głowę za poręcz. Poda mną przemykały auta. Nagle przyszło mi na myśl coś, co musiałem u kogoś podpatrzeć, zebrałem więc w ustach jak najwięcej śliny, wycelowałem i splunąłem. Ślina oczywiście zdążyła wyparować, zanim dosięgnęła samochodu, ale ja nie odrywałem oczu od drogi i plułem do upojenia.

– Co ty wyprawiasz? To obrzydliwe!

Podniosłem wzrok i zobaczyłem mijającą mnie właśnie kobietę w średnim wieku, która zmiażdżyła mnie spojrzeniem, ale się nie zatrzymała, przemykając obok jak te auta w dole. Zostałem znów sam. Kładka z każdej strony kończyła się wachlarzem stopni, które prowadziły we wszystkich

kierunkach. Straciłem całkiem orientację. Świat pod schodami wszędzie był tak samo stalowy – po lewej i po prawej. Przeleciała nade mną para gołębi. Postanowiłem, że podążę ich śladem.

Zanim sobie uświadomiłem, że idę w złą stronę, było za późno. Oddaliłem się naprawdę spory kawałek. W przedszkolu uczyliśmy się piosenki zatytułowanej *Naprzód marsz*. „Ziemia jest okrągła, naprzód, naprzód marsz”... Przypomniawszy ją sobie, uznałem, że dotrę do domu, jeśli tylko będę wytrwale maszerował przed siebie. Uparcie więc dalej drobiłem.

Główna droga przeszła w wąską ulicę, po której obu stronach stały stare, rozpadające się domy oznaczone przypadkowymi liczbami wypisanymi na czerwono oraz opatrzone literami układającymi się w wyraz GONGGA*. W pobliżu nie było nikogo. Nagle usłyszałem ciche: „A!”. Okrzyk ten mógł znaczyć wszystko. Ruszyłem w kierunku, z którego dobiegał. Dźwięk narastał z każdym moim krokiem, aż w końcu przeszedł w wyraźne stękanie. Jego źródło znajdowało się za rogiem. Skręciłem bez wahania.

Na ziemi leżał chłopiec. Mały chłopiec, którego wieku nie umiałbym podać, no ale co rusz przesłaniały go czarne cienie. Zbierał cięgi. Stęki nie pochodziły od niego, lecz od cieni; świadczyły o ich wyczerpaniu. Na chłopca spadały kopniaki i splunięcia. Później się dowiedziałem, że napastnikami byli gimnazjaliści, w tamtym momencie jednak wydawali mi się wysocy i potężni jak dorośli.

Chłopiec ani się nie opierał, ani nie protestował, zupełnie jakby nawykł do zbierania cięgów. Miotalo nim jak szmacianą lalką. Jeden z cieni dźgnął go jeszcze w bok łokciem,

* *Gongga* – dosł. pusty dom. (Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

po czym napastnicy zabrali się i odeszli. Chłopiec cały był we krwi, jakby pomalowano go na czerwono. Podeszedłem do niego. Zobaczyłem, że jest ode mnie starszy, mógł mieć dziewięć albo nawet dziesięć lat, prawie dwa razy więcej niż ja. Mimo to wciąż odnosiłem wrażenie, że jest młodszy. Pierś mu się unosiła i opadała raptownie, gdy oddychał płytko i szybko jak nowo narodzone szczenię. Było jasne, że znalazł się w niebezpieczeństwie.

Wróciłem na uliczkę. Świeciła pustkami – w oczy kłuły mnie tylko czerwone napisy na szarych murach. Po przejściu sporego kawałka wreszcie zobaczyłem sklep na rogu. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

– Przepraszam!

W telewizji leciała *Rodzinna gra*. Sklepikarz tak głośno rżał, że na pewno mnie nie usłyszał. Zawodnicy brali właśnie udział w konkurencji, która polegała na tym, że jedna osoba wkładała do uszu zatyczki i próbowała zgadnąć, co mówią inni, tylko po ruchu ich warg. Na tapecie był akurat wyraz „trwoga”. Nie mam pojęcia, czemu go zapamiętałem. Nawet nie wiedziałem wtedy, co oznacza. Jedna z kobiet co rusz źle odgadywała, wywołując salwy śmiechu na widowni i z ust sklepikarza. W końcu czas się skończył i jej drużyna przegrała. Sklepikarz cmoknął, jakby mu było przykro.

– Proszę pana! – zawołałem do niego ponownie.

– Tak? – Odwrócił się do mnie nareszcie.

– Ktoś leży tu niedaleko za rogiem.

– Naprawdę? – zapytał obojętnie i poprawił się na krześle, prostując plecy.

Obie drużyny przygotowywały się do kolejnej rozgrywki o wysoką stawkę, co mogło odmienić ich losy.

– On może umrzeć – dodałem, macając opakowanie karmelowych chrupek wystawionych z przodu lady.

– Ach tak?

– Tak.

Dopiero w tym momencie spojrział mi prosto w oczy.

– Kto cię nauczył mówić takie upiorne rzeczy? Nie wolno kłamać, synu.

Przez chwilę milczałem, starając się znaleźć słowa, które by go przekonały. Ale jako sześciolatek nie miałem bogatego słownika, poza tym nie przychodziło mi do głowy nic bardziej prawdziwego niż to, co już powiedziałem.

– On może niedługo umrzeć – powtórzyłem, bo na nic więcej nie było mnie stać.

Obejrzałem teleturniej do końca, w czasie gdy sklepikarz dzwonił na policję. Widząc, że wciąż gmeram przy chrupkach, kazał mi je zostawić w spokoju, jeśli nie zamierzam ich kupić. Policja wcale się nie śpieszyła z przybyciem na miejsce zdarzenia – a ja potrafiłem myśleć wyłącznie o chłopcu leżącym na zimnej ziemi. Nie żył już.

Rzecz w tym, że był to syn sklepikarza.

* * *

Siedziałem w komisariacie na ławce, mając nogami. Poruszały się miarowo w przód i w tył, wytwarzając chłodny wietrzyk. Było już ciemno, a mnie chciało się spać. Właśnie miałem się zdrzemnąć, kiedy drzwi komisariatu otworzyły się gwałtownie i pojawiła się w nich Mama. Na mój widok wykrzyknęła, po czym gładziła mnie mocno po głowie, sprawiając mi ból. Zanim zdążyła się mną nacieszyć, drzwi otworzyły się znowu i do środka wszedł sklepikarz podtrzymywany przez policjantów. Zawodził z twarzą zalaną łzami. Wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy obserwował zmagania zawodników teleturnieju. Opadł na kolana i cały drżący zaczął uderzać otwartą dłońią w podłogę. W pewnym momencie się zerwał, wrzasnął coś i wymierzył we mnie palcem. Nie rozumiałem wiele z jego bełkotu, ale usłyszałem mniej więcej: – Przyjechaliby na czas, gdybyś powiedział to poważnie! Stojący obok mnie policjant wzruszył ramionami.

– To przedszkolak. Co on tam może wiedzieć – stwierdził i powstrzymał sklepikarza przed ponownym osunięciem się na podłogę.

Nie zgadzałem się ze sklepikarzem. Byłem poważny przez cały czas. Ani razu się nie uśmiechnąłem. Nie rozumiałem, dlaczego mnie łaje, ale jako sześciolatek nie znałem słów, z których mógłbym ułożyć pytanie, zachowałem więc milczenie. Mama odezwała się za mnie, podnosząc głos i zamieniając komisariat w dom wariatów, gdzie jeden rodzic wszczywał larum z powodu utraty dziecka, drugi zaś z powodu jego odnalezienia.

Tamtego wieczoru bawiłem się jak zawsze klockami. Miały kształt żyrafy, którą dało się przemienić w słonia, przekręcając w dół jej długą szyję. W pewnym momencie poczułem na sobie świdrujący wzrok Mamy.

– Nie bałeś się? – zapytała.

– Nie – odparłem.

* * *

Plotka o incydencie – jak to bez mrugnięcia przyglądałem się chłopcu pobitemu na śmierć – szybko się rozniosła. Od tamtej pory jedna po drugiej ziszczały się obawy Mamy.

Sytuacja się pogorszyła wraz z moim pójściem do szkoły podstawowej. Pewnego dnia, gdy wracałem po lekcjach do domu, dziewczynka idąca przede mną potknęła się o kamień. Blokowała mi drogę, zatem wpatrywałem się z uwagą w jej gumkę do włosów z Myszka Miki, czekając, aż się podniesie. Ona jednak dalej siedziała na ziemi i płakała. W końcu pojawiła się jej mama i pomogła jej wstać. Rzuciła spojrzenie w moją stronę i zacmokała.

– Koleżanka przewraca się na twoich oczach, a ty nawet nie zapytasz, czy nic jej się nie stało? Czyli plotki nie kłamią, coś jest z tobą nie tak.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, zmilczałem więc. Inne dzieci wyczuły, że coś się dzieje, i zgromadziły się wokół mnie. Ich szepty drażniły mi uszy. Wyobrażałem sobie, że powtarzając słowa matki tamtej dziewczynki. Wtedy w sukurs przyszła mi Babcia, która pojawiła się znikąd niczym Wonder Woman i porwała mnie w ramiona.

– Pani uważa, co mówi! – rzuciła swoim zachrypniętym głosem. – Gdyby ta dziewczynka patrzyła, gdzie idzie, toby nie upadła. Za kogo pani się ma, że zrzuca winę na mojego wnuka?

Babcia nie zapomniała też o otaczających nas dzieciach.

– Na co się gapicie, łobuzy?

Gdy już się oddaliliśmy kawałek, zadarłem głowę, żeby na nią spojrzeć. Miała zaciśnięte wargi.

– Babciu, dlaczego ludzie mówią, że coś jest ze mną nie tak?

Rozchyliła usta.

– Może dlatego, że jesteś wyjątkowy. Ludzie nie są w stanie znieść, gdy ktoś się wyróżnia, mój ty słodki potworku.

Ucisnęła mnie mocno, aż rozboleły mnie zębra. Odkąd pamiętam, nazywała mnie „potworkiem”. W jej ustach brzmiało to jak komplement.

Jeśli mam być szczerzy, trochę trwało, zanim w pełni zrozumiałem znaczenie pieszczotliwego przydomku, który nadała mi Babcia. Potwory w książkach nie były słodkie – co to, to nie. Zastanawiałem się, dlaczego Babcia tak mnie nazywa. Miałem mętlik w głowie nawet wtedy, gdy poznałem wyraz „oksymoron”, czyli zestawienie przeciwstawnych, wykluczających się pojęć. Czy akcent padał na „słodki”, czy na „potworek”? Babcia twierdziła, że zwraca się tak do mnie z miłości, a ja jej ufałem.

W oczach Mamy weszły łzy, kiedy Babcia opowiedziała jej o dziewczynce z Myszką Miki we włosach.

– Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie... Nie zdawałam sobie tylko sprawy, że to się stanie tak szybko.

– Och, skończ z tymi głupotami! Skoro chcesz jęczeć, jęcz w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami!

To na chwilę powstrzymało łzy Mamy. Zerknęła na Babcie nieco zaskoczona jej wybuchem. A potem zaczęła płakać jeszcze głośniej. Babcia zacmokała i potrząsnęła głową, po czym ze wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie sufit zbiega się w rogu, westchnęła przeciągle. Tak już było z nimi dwiema.

Mama rzeczywiście martwiła się o mnie od dłuższego czasu. Dlatego, że różniłem się od innych dzieci – i to od urodzenia – ponieważ...

Nie uśmiechałem się.

Z początku Mama myślała, że po prostu wolno się rozwijam. Ale w poradnikach dla rodziców wyczytała, że niemowlę

zaczyna się uśmiechać na trzeci dzień po urodzeniu. Policzyła, ile dni minęło. Wynik był bliski setki.

Niczym księżniczce z bajki, na którą rzucono klątwę braku uśmiechu, nie drgnął mi nawet kącik ust. A Mama – niczym księżę z dalekiej krainy usiłujący zdobyć serce ukochanej – próbowała dosłownie wszystkiego. Klaskała, kupowała kolejne grzechotki, nawet tańczyła do głupiutkich piosenek dla dzieci. Gdy się zmęczyła, wychodziła na werandę, żeby zapalić – papierosy były nałogiem, który ledwo udało się jej rzucić, po tym jak się dowiedziała, że jest ze mną w ciąży. Raz widziałem filmik, który nagrała Babcia: Mama przechodzi samą siebie, a ja tylko się w nią wpatruję. Spojrzenie miałem zbyt głębokie i zbyt spokojne, aby mogło być spojrzeniem dziecka. Cokolwiek Mama robiła, nie potrafiła skłonić mnie do uśmiechu.

Zagadnięty o moje nieuśmiechanie się pediatra zważył mnie i zmierzył, po czym stwierdził, że nic konkretnego mi nie dolega. Wszystkie wyniki miałem w normie i rozwijałem się prawidłowo. Lekarz zbagatelizował więc obawy Mamy, zapewniając ją, że jej dziecko rośnie zdrowo. Przez jakiś czas Mama starała się przekonać samą siebie, że po prostu jestem nieco bardziej skryty od reszty dzieci.

Ale później, w okolicy moich pierwszych urodzin, wydarzyło się coś, co ją przekonało, że słusznie się martwiła.

Tamtego dnia Mama postawiła na stole czerwony czajnik z wrzątkiem i odwróciła się plecami, żeby rozmieszać mleko w proszku. Sięgnąłem po czajnik, który oczywiście spadł na podłogę, chlapiąc wrzątkiem na wszystkie strony. Do tej pory mam ledwie widoczną bliznę po oparzeniu, którą noszę niczym medal. Krzyczałem wtedy i płakałem. Mama pomyślała, że odtąd będę uważał na wrzątek i czerwone czajniki, jak każde normalne dziecko. Nic z tych rzeczy. W ogóle się nie bałem. Wyciągałem rączki do czerwonego czajnika bez względu na to, czy był zimny czy gorący.

Dowodów przybywało. W budynku na dole mieszkał ślepiec, który miał wielkiego czarnego psa. Psisko wiecznie stało przywiązane do słupa na podwórzu. Tymczasem ja spoglądałem bez strachu w pokryte bielmem oczy staruszka, a gdy Mama nie patrzyła, sięgałem ręką do psa, który szczerząc zęby, warczał głośno. Raz ugryzł syna sąsiadów, lecz ja wciąż robiłem to samo. Mama musiała co rusz interweniować.

Po kilku takich incydentach zaczęła się martwić, że mam niski iloraz inteligencji, ale nic innego na to nie wskazywało. W końcu jak każda matka znalazła sposób, aby swoje wątpliwości względem dziecka przekuć w coś pozytywnego.

Jest po prostu śmielszy od innych dzieci.

Tak mnie opisała w swoim pamiętniku.

* * *

Mimo wszystko każda matka zaczęłaby się poważnie niepokoić, gdyby jej dziecko nie uśmiechnęło się ani razu do swoich czwartych urodzin. Mama wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do szpitala. Tamten dzień jako pierwszy wyrył mi się trwale w pamięci. Wspomnienie na ogół jest mgliste, jakbym je oglądał spod wody, ale od czasu do czasu nabiera konturów. Idzie to mniej więcej tak...

Naprzeciwnie mnie siedzi mężczyzna w białym kitlu. Uśmiechając się, pokazuje mi różne zabawki. Niektórzy mi potrząsa. Później stuka mnie w kolano młoteczkami. Moja noga skacze wyżej, niż mógłbym przypuszczać. Potem mężczyzna w kitlu łaskocze mnie pod pachami. Chichoczę cicho. W końcu on wyciąga jakieś zdjęcia i zaczyna mi je pokazywać, zadając pytania. Jedną fotografię zapamiętałem szczególnie.

– Ten chłopiec płacze, bo jego mama zniknęła. Co może czuć?

Nie znam odpowiedzi, podnoszę więc spojrzenie na Mamę, która siedzi obok. Uśmiecha się do mnie i gładzi mnie po włosach, następnie zaś delikatnie przygryza dolną wargę.

* * *

Kilka dni później Mama zabiera mnie w inne miejsce, obiecując, że polecę rakieta, ale trafiamy do zwykłego szpitala. Pytam ją, czemu mnie tu przyprowadziła, skoro nie jestem chory ani nic, lecz ona nie odpowiada.

W środku każą mi się położyć na czymś zimnym. Po chwili zostaję wessany do wnętrza białej tuby. Pip, pip, pip. Z zewnątrz dolatują mnie dziwne odgłosy. Tak wygląda moja podróż rakieta. Nuda.

Zmiana sceny. Pojawia się więcej mężczyzn w białych kitlach. Najstarszy z nich wręcza mi niewyraźne czarno-białe zdjęcie, mówiąc, że to wnętrze mojej głowy. Kłamca. To nie może być moja głowa. Ale Mama potakuje, jakby mu wierzyła. Ilekroć starzec otwiera usta, otaczający go młodzi mężczyźni robią notatki. Znów zaczynam się nudzić, kręcę się więc na krześle i kopię w biurko. Kiedy Mama kładzie mi dłoń na ramieniu, aby mnie uspokoić, podnoszę na nią wzrok i widzę, że płacze.

Z reszty dnia pamiętam tylko płacz Mamy. Kap, kap, kap. Płacze nawet wtedy, gdy wracamy do poczekalni. W telewizji leci kreskówka, ale nie mogę się na niej skoncentrować przez te łzy. Obrońca wszechświata walczy z czarnym charakterem, a Mama nic, tylko płacze. W końcu staruszek, który siedzi obok, budzi się i rzuca warkliwie:

– Przestań się mazgać, hałaśliwa kobieto! Mam tego dość!

To działa. Mama zaciska wargi jak upomniana nastolatka i drży odtąd w milczeniu.

Mama zaczęła mnie karmić migdałami. Skosztowałem migdałów z Ameryki, z Australii, z Chin i z Rosji. Ze wszystkich krajów, które eksportują je do Korei. Chińskie miały ohydny gorzki smak, a australijskie wydawały się kwaśne i jakby ziemiste. Są też koreańskie migdały, ale ja najbardziej lubię amerykańskie, szczególnie te z Kalifornii. Mają jasnobrązowy odcień od wchłoniętego palącego kalifornijskiego słońca.

Wynalazłem własny sposób jedzenia ich.

Najpierw bierzesz do ręki paczuszkę i palcami wyczuwasz ich kształty od zewnątrz. Musisz dotknąć twardych, lekko kanciastych pestek opuszkami. Potem wolno rozrywasz górną część opakowania i rozchyłasz zamek strunowy. Później wsuwasz do środka nos i powoli wciągasz powietrze. Pamiętaj, żeby zamknąć przy tym oczy. Wdechy robisz płytkie, od czasu do czasu w ogóle powstrzymując się od oddychania, tak żeby zapach jak najdłużej rozchodził się po twoim ciele. Wreszcie, gdy cały jesteś nim przepelniony, wrzucasz do ust pół garści. Obracasz je przez chwilę językiem, żeby poczuć ich fakturę, napierasz językiem na ostre końce, przejeżdżasz samym czubkiem wzdłuż wgłębień na powierzchni. Tylko nie rób tego zbyt długo, bo miękkie od śliny migdały nie będą dobrze smakować. Zresztą to wszystko jest tylko przygrzywką do wielkiego finału. Za krótka – i nie będzie w ogóle efektu. Za długa – i efekt się rozmyje. Sam musisz odkryć odpowiednie zgranie w czasie. Wyobraź sobie, że migdały rosną; z początku

wielkości paznokcia, stają się tak duże jak winogrono, kiwi, pomarańcza, arbuz... W końcu jak piłka do rugby! To jest właściwy moment. Chrup, rozgryszasz je. Jeśli zrobisz to jak trzeba, poczujesz słoneczne niebo w gębie.

Powód, dla którego hołduję temu rytuałowi, nie ma nic wspólnego z moim upodobaniem do migdałów. Rzecz w tym, że były na stole przy każdym posiłku. Nie dało się ich unikać. Opracowałem więc sposób, jak je jeść. Mama myślała, że jeśli będę jadł dużo migdałów, migdały w mojej głowie urosną. W niewiele rzeczy wierzyła tak jak w to.

Bo widzisz, każdy ma w głowie dwa migdały, przymocowane na sztywno gdzieś pomiędzy uszami w tyle czaszki. Tak naprawdę mówi się na nie „ciała migdałowate”, bo wielkością i kształtem przypominają prawdziwe migdały.

Gdy twoje ciało przeniknie z zewnątrz jakiś bodziec, ciała migdałowate przesyłają do mózgu sygnały. W zależności od rodzaju bodźca poczujesz strach albo gniew, radość albo smutek.

Ale nie wiedzieć czemu moje migdały nie działają jak należy. Nie włączają się w odpowiedzi na bodziec. Dlatego nie wiem, czemu ludzie się śmieją bądź płaczą. Radość, smutek, miłość, strach – wszystkie te emocje są dla mnie abstraktami. A „empatia” to tylko nic nieznaczący zlepek liter w druku.

Lekarze zdiagnozowali u mnie aleksytymię czy też inaczej: niezdolność do wyrażania uczuć. Wykluczyli zespół Aspergera, bo byłem za mały, i autyzm, bo nic innego na niego nie wskazywało. Zresztą chodziło nie tyle o wyrażanie uczuć, ile o identyfikowanie ich. Bez trudu układałem zdania i rozumiałem ich znaczenie, z czym mają kłopot ludzie z uszkodzeniami takich rejonów mózgu, jak ośrodek Broki czy ośrodek Wernickego, które odpowiadają za generowanie i rozumienie mowy. Nie odczuwałem za to emocji, nie potrafiłem zgadnąć, co czują inni ludzie, miałem kłopoty z nazywaniem uczuć. Lekarze twierdzili, iż to przez to, że migdały w mojej głowie – ciała migdałowe – są niezwykle małe, a połączenie między układem limbicznym i płatem czołowym nie działa tak gładko, jak powinno.

Jednym z objawów posiadania małych ciał migdałowych jest nieznanomość uczucia strachu. Niektórzy twierdzą, jak by to było fajnie niczego się nie bać, ale w rzeczywistości nie mają pojęcia, o czym mówią. Strach bowiem jest instynktownym mechanizmem obronnym, niezbędnym dla przetrwania. Jeśli nie znasz strachu, wcale nie jesteś odważny, za to jesteś wystarczająco głupi, aby stać pośrodku drogi, gdy w twoją stronę pędzi samochód. Ja miałem jeszcze większego pecha. Nie dość, że się niczego nie bałem, to jeszcze byłem ograniczony we wszystkich funkcjach emocjonalnych. Tyle dobrego, że przy tak małych ciałach migdałowych nie ucierpiała moja inteligencja – powiedzieli lekarze.

Poradzili też, aby podejść do sprawy na spokojnie, bo mózg każdego człowieka jest inny. Niektórzy wysuwali dość kuszące propozycje, twierdząc, że mogą odegrać wielką rolę w odkrywaniu tajemnic ośrodkowego układu nerwowego. Klinicyści byli gotowi prowadzić długofalowe badania nad moim rozwojem, który byłby opisywany w periodykach medycznych. Oczywiście z udziałem w badaniach wiązałoby się honorarium, i to niemałe, a w razie gdyby wyniki były szczególnie interesujące, jakaś część mózgu mogłaby otrzymać nazwę po mnie, zupełnie jak ośrodek Broki czy ośrodek Wernickego.

Ośrodek Seona Yunjae.

Propozycje te spotkały się jednak z chłodną odmową Mamy, która do tej pory miała już serdecznie dość lekarzy.

Po pierwsze, Mama wiedziała, że Broca i Wernicke byli naukowcami, nie pacjentami. Zdążyła wypożyczyć i przeczytać chyba wszystkie książki z biblioteki, które traktowały o neurologii. Po drugie, nie podobało jej się to, że lekarze widzą we mnie interesujący okaz, a nie żywego człowieka. Pewnie dlatego bardzo wcześniej porzuciła nadzieję, że mi pomogą.

Poddają go tylko dziwacznym eksperymentom, faszerują niesprawdzonymi lekami, obserwują jego reakcje, po czym przedstawiają swoje wnioski na konferencjach – napisała w pamiętniku.

Jak wiele innych nadopiekuńczych matek uczyniła deklarację, która była tyleż nieprzekonująca, co szampowa:

– Najlepiej wiem, co jest dobre dla mojego dziecka.

Po spędzonym w szpitalu ostatnim dniu splunęła w ukwiecony krzak przed wejściem do budynku i oznajmiła:

– Te konowały nie mają nawet pojęcia, co siedzi w ich cholernych mózgach!

Potrafiła być czasem bardzo buńczuczna.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova